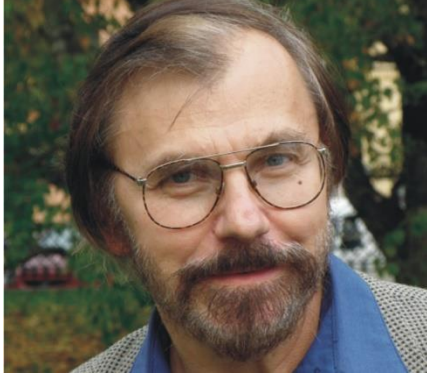


## Listy do Pani A. (195)



Fot. Andrzej Dębowski

## Znak od Borysa

Droga Pani!

Wydawało się, że Borys Russko będzie żył wiecznie. Rozmawialiśmy często przez telefon. Żartowaliśmy, że spokojnie dożyje setki, a miał „dopiero” dziewięćdziesiąt pięć lat. Przesyłał mi regularnie swoje tomiki. Recenzowałem je z przyjemnością na portalu Pisarze oraz na łamach „Przeglądu Prawosławnego”. Był laureatem Nagrody im. Księcia Konstantego Ostrogskiego. Otrzymał ją – jak czytamy w uzasadnieniu werdyktu – „za poezję, niezwykle precyzyjną, wręcz aforystyczną, trafiającą w sedno, mającą duży ciężar gatunkowy, niesłychanie głęboką (...) Jego poezji nie da się porównać do niczego. [Jest] zupełnie odrębna w swej konstrukcji, niezwykle precyzyjna”.

Dodam, że poeta w 2019 roku został uhonorowany medalem Gloria Artis „za wybitne zasługi w dziedzinie twórczości artystycznej, działalności kulturalnej i ochrony dziedzictwa narodowego”.

Byliśmy od kilku lat w stałym kontakcie telefonicznym. Zawsze dzielił się ze mną aktualnie napisanymi wierszami. Gawędziliśmy co dwa – trzy dni. W pewnym momencie, zupełnie niespodziewanie, telefon pozostał głuchy. Jeszcze nie podejrzewałem niczego złego. Aż wreszcie Ania zaczęła przeszukiwać internet. I znalazła wiadomość, że Borys Russko zagnął. A następnie, że został odnaleziony, jest w szpitalu. Wreszcie to najgorsze: Borys Russko zmarł. Był też członkiem ZLP, brał udział w Komisji Rewizyjnej. Niestety nikt nie raczył odnotować Jego odejścia, człowieka bardzo zasłużonego, szlachetnego, świętego poety.

Do końca był bardzo aktywny. Kiedy rozmawialiśmy o długości życia, a ja go zapewniałem, że dożyje setki, mówił: „facet w moim wieku dziś żyje aktywnie, a jutro pyk, i go nie ma”. Zupełnie się nie spodziewałem owego rychłego „pyknięcia”.

Powiedział mi kiedyś, że gdy umrze, a właściwie znajdzie się w ciebie astralnym, da mi jakiś znak. Pojechałem zaraz potem na Mazury, a tu Ania za kilka dni dzwoni i mówi: „wiesz, Borys dał znak”. Oto pewnej nocy usłyszała jakiś szelest i cichy stuk. Zapaliła światło. Na podłodze leżała koperta, która zsunęła

się z półki, zaadresowana do mnie jego ręką. Przesłał mi w niej któryś z tomików. Nie miała prawa spaść, leżała dosyć głęboko. Ale spadła. Może jakiś podmuch, wstrząs od przejeżdżającego samochodu. W każdym razie trudno uniknąć skojarzeń...

Smutno, że robi się wokół coraz bardziej pusto, a najwartościowsi ludzie odchodzą niemal masowo.

Życie, bez względu na to, jakie ono jest, musi toczyć się dalej. Oto Irena Nyczaj wydała tom opowiadań „Struny gniewu”. To trudna, chwilami bardzo gorzka proza, ale nie pozostawiająca czytelnika z tragiczną beznadzieją. Jest obiektywna, odmalowująca niewesołe przeżycia bohaterów, ale też nie bez dozy optymizmu.

Są to opowiadania w głównej mierze psychologiczne i jakże refleksyjne. Mamy tu celne obserwacje tzw. „życia”, postaw ludzkich, przeciętnego i prymitywnego pojmowania religii; tego bezmyślnego, dosłownie pojmowanego kultu, trzymania się „litery”, co nie ma nic wspólnego z autentyczną wiarą w Boga rozumianego w sposób metafizyczny, nie zaś pogańsko-dosłowny; z wiarą przekładającą się w praktyce na wewnętrzny etos.

Proza Ireny Nyczaj pełna jest opisów codziennych, pospolitych zdarzeń, które stają się powodem albo nieporozumień, albo niekiedy prawdziwych dramatów. Teksty te w dużym stopniu dotyczą, choć siłą rzeczy nie wyczerpują, zakresu obserwowanych przez pisarkę zjawisk. Ale owe codzienne zdarzenia stanowią istotne tło jej opowiadań, a jednocześnie odkrywają jakieś ich tajemnicze podłoże poetyckie. Oczywiście nie w sensie dosłownym, ale raczej wrażeniowym, co zresztą potwierdzają zawarte tutaj liczne cytaty z wierszy Stanisława Nyczaja.

Zauważmy, że opowiadania te nie noszą najmniejszego śladu dydaktyzmu, nie są pisane „ku pokrzepieniu”, czy też „ku pogębieniu”. To ekspresyjne, bezpośrednie relacje z rzeczywistości. Wyciszenie, staranne trzymanie autorskich emocji na wodzy, to właśnie jeden z najistotniejszych walorów tej prozy, gorzkiej, ale jakże obiektywnej.

Ale i o znalezienie dobrej, indywidualnej poezji także niełatwo. Najczęściej dominuje bufonada, samozadowolenie, przekonanie o wielkości i wyjątkowości. Przyklaskuje temu sfera krytyków ferujących wyroki. To przeważnie komilitoni poszczególnych twórców wynoszonych pod niebiosa. Wiele tekstów jest nie do odróżnienia, pisane są na jedno koopyto. Rzecz ciekawa, że owi poeci wraz ze swoimi giermkami najczęściej należą do paru określonych środowisk. Inni nie mają wielkich szans na obiektywne oceny, nie mówiąc już o bardziej prestiżowych nagrodach. Powiem Pani, że wiele z tych okrzyczanych jako „znakomite” poetyckich objawień wygląda na zwykłą, przeciętną grafomanię. To taki syndrom Nikodema Dyzmy. Czyli owczy pęd ogłupionego tłumu. Nie, nie tyle czytelników, co koniunkturalnych „krytyków”.

To trochę jak w życiu. Oczywiście dobrze jest czasem przeczytać wesołą, lekko napisaną szmirę. Ale czy zaraz wynosić to na

szczyty wyższe niż „zwykły” Parnas? Nie ma w tym nic złego.

I znowu tak jak życiu: lubimy przyglądać się kobietom o kształtach nader obfitych, aż do deformacji. Nawet jest powiedzenie, że nie istnieje pojęcie „zbyt duży biust”. A jednak to nie do końca prawda. Jechałem kiedyś autobusem. W pewnym momencie wsiadła gruba, niemłoda baba, mocno wydekoltowana, właścicielka wielkiego, ale zupełnie nieforemnego biustu. Przyznajmy, iż zarówno piękno jak i brzydota mają w sobie coś fascynującego. Inaczej nie powstałby turpizm. Zapatrzyłem się niemal cielecym wzrokiem. Baba to zauważyła i rozdarła się na całe gardło: „co pan się tak gapi? Cycków pan nie widział, czy co?” Nie wiem skąd przyszła mi nagle do głowy odpowiedź: „Widziałem, ale takich okropnych, to jeszcze nie”. Autobus gruchnął śmiechem, właścicielka biustu wysiadła na najbliższym przystanku. Podobne dialogi, oczywiście dotyczące wierszy, przydałyby się i w życiu literackim.

Przyzwyczailiśmy się do konwencji, do dawnych wzorców, archaicznego sposobu myślenia. Oczywiście, żal dawnego sposobu pojmowania świata, ale obecnie rzeczywistość jest już inna, nie mieści się w dawnych obyczajach, regułach, domaga się nowych form opisu. Ale tutaj znowu wylewamy dziecko z kąpielą. Nie potrafimy znaleźć tych najodpowiedniejszych. Albo wszystko burzimy, albo konserwujemy zmurszałe mury. Jest to widoczne np. w obszarach kościelnych, gdzie szaleje klerykalizm, bufonada, kult bogactwa, pogarda dla „owieczek”. Zafascynowała mnie więc osoba biskupa Damiana Muskusa z Krakowa, należącego do zakonu bernardynów. Nie jest to w żadnej mierze duchowny „zbiskupały”. Przeważnie chodzi w habitcie franciszkańskim, bo nie potrzebuje budować sobie autorytetu za pomocą fioletołów. Mieszka w klasztorze wraz ze współbraćmi, nie w bogatym pałacu. Pełen humoru, dobrze pojętej prostoty, dystansu do siebie i świata. Z jego wypowiedzi można wnioskować, że to człowiek wielkiej wiedzy, któremu autentyczne dobro Kościoła, ale przede wszystkim każdego poszczególnego człowieka, niezależnie od jego postaw i przekonań, leży na sercu. Takich ludzi nigdy za dużo, choć u nas jeszcze za mało. Przywołuję ten przykład nie bez kozery. Warto sobie wciąż uzmyslać, że w każdej dziedzinie potrzeba ludzi skromnych, rzetelnych a przede wszystkim odważnych. Zarówno w Kościele jak i w literaturze, zresztą dosłownie wszędzie. I oby takich było coraz więcej. Tymczasem... Ale koniecznie już z narzekaniami!

Z pewną dozą optymizmu kończę ten list, i bardzo serdecznie Panią pozdrawiam –

Stefan Jurkowski

